

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Nr 14/2016

DODATEK SPECJALNY

Redakcja:
Wojciech Pięciak

FUNDACJA INSTYTUT STUDIÓW STRATEGICZNYCH

ULMOWIE

POLSCY SPRAWIEDLIWI

Wiktoria i Józef Ulmowie

Dodatek ukazuje się we współpracy
z Instytutem Pamięci Narodowej



**INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ**

Droga i dom

ZDJĘCIE UMIESZCZONE OBOK nie należy do najbardziej znanych fotografii wykonanych przez Józefa Ulmę. Na tych bardziej popularnych widzimy jego rodzinę, sąsiadów, a także ukrywanych przez niego Żydów. Patrząc na nich, nie możemy uciec od podstawowego pytania: czy my sami zdobylibyśmy się na taką odwagę i poświęcenie? Fotografia obok jest inna. Nie widać na niej ludzi, jest tylko droga i dom. Ten dom. Dom kochającej rodziny, zawsze pełen dziecięcych głosów. Dom – schronienie dla skazanych na Zagładę. Dom – niemy świadek okrutnej zbrodni. Obok droga, tyle razy przemierzana przez Ulmów, spieszących w codziennych sprawach. Droga, którą przyszli proszący o schronienie. Droga, którą nocą przyjechali zabójcy i którą wywieźli zrabowany majątek. I jeszcze bezkres nieba.

UROCZYSTOŚĆ OTWARCIA Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów w Markowej była szeroko relacjonowana i wywołała wiele komentarzy. Padło wiele ważnych i potrzebnych słów. Mówiono o prawdzie, sprawiedliwości historycznej, poświęceniu, miłości bliźniego, przestrodze dla przyszłych pokoleń. Przywoływano za świętym Janem słowa Chrystusa: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”. Od inauguracji minęło już kilkanaście dni. Z Markowej dawno wyjechały ekipy telewizyjne, Muzeum rozpoczyna regularną pracę. Nie ulega wątpliwości, że mimo skromnych rozmiarów stanie się wkrótce jedną z najważniejszych placówek edukacji historycznej. Pozostaje jednak mieć nadzieję, że będzie także czymś więcej: miejscem, które prowokuje do zadawania fundamentalnych pytań i poszukiwania odpowiedzi. Miejscem, które będzie nie tylko przybliżać historię, ale także oddziaływać na tych, którzy je odwiedzają. Ku przeszłości zwracamy się nie tylko po to, aby poznać i zrozumieć minione dzieje. Poszukujemy w niej również prawdy o człowieku, o nas samych.

DOM I DROGA. Bezkres nieba.
Nieme pytania.

©
ŁUKASZ KAMIŃSKI

Autor jest prezesem IPN.



Samarytanie od jedwabników

KAROLINA PRZEWROCKA Z MARKOWEJ

**„Patrzcie, jak giną polskie świnie, które przechowują Żydów”
– krzyczał niemiecki żandarm. 72 lata później we wsi Markowa
otwarto muzeum imienia rodziny Ulmów.**

W marcu 1944 r. mogło być tu tak jak dziś. Ciężkie chmury wisiały nad horyzontem, wiatr chesał po podkarpackich polach kępki pierwszej trawy.

Dom Ulmów leżał na uboczu Markowej, tu właśnie. Na jego miejscu stoi dziś inny dom, ubogi i zaniedbany. Na podwórku walają się śmieci, stare zabawki, w rowie gniją główki kapusty.

Za domem trzeba skrócić w lewo i wejść w mały zagajnik. I oto jest, biała tabliczka. Napis: „W tym miejscu w dniu 24 III 1944 r. niemieccy żandarmi zamordowali rodzinę Ulmów, Szallów i Goldmanów”. Dookoła cisza i pola.

Morwy i ule

– Ulmy to tam sąsiadów nie miały. Nikogo nie było dookoła, tylko te pola. Ale lubiani byli bardzo, dobre ludzie. Żyły ze sobą w zgodzie i innym pomagały – mówi Stanisława Kuźniar, rodem z Markowej, dziś podopieczna Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego w Handzlówce. Ma 94 lata, a tak pamięta, jak małego Władzia Ulmę do chrztu niosła, jak było wczoraj.

Pamięta też Józka Ulmę, ożenionego w 1935 r. z Wiktoria, z domu Niemczak. Co to był za człowiek! Po ukończeniu szkoły rolniczej w Pilźnie namiętnie uprawiał warzywa i owoce. Założył szkółkę drzew owocowych, zaczął sprzedawać sadzonki. Potem zajął się pszczelarstwem i hodował jedwabników, zbierając dyplomy z rolniczych wystaw za „pomysłowe ule”, „wzorową hodowlę jedwabników i wykresy ich życia”. Na morwy przyjeżdżał do niego sam Andrzej Lubomirski, ordynat przeworski.

Józef Ulma był społecznikiem. Działał w Katolickim Stowarzyszeniu Młodzieży Męskiej, w Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, przez pewien czas szefował Spółdzielni Mleczarskiej w Markowej. Książki w jego domowej bibliotece zdradzały szerokie zainteresowania: „Dzicy mieszkańcy Australii”, „Dzieje biblijne starego i nowe-

go przymierza”, „O drenowaniu”, „Słownik wyrazów obcych”. W Piśmie Świętym należącym do Józefa znalazł się potem zakreślony ołówkiem przypowieść o miłosiernym Samarytaninie.

A potem zaczął robić zdjęcia. Z aparatem fotograficznym chodził po wsi i okolicy, wypatrywał okazji. I robił tysiące zdjęć: chłopom w polu, pannom młodym, bosym dzieciom, zmarłym w trumnach. Mieszkańcom, chórom, orkiestrom. Potem tym, co zdjęcia potrzebowali do kennkarty, okupacyjnego dowodu tożsamości.

Dziesiątki zdjęć zrobił żonie i dzieciom: Stasi, Basi, Marysi, Władziowi, Franusiowi i Antosiowi. A na nich: Stasia odrabia lekcje, żona myje naczynia, dzieci pasą krowy. I on sam, z nosidłem na wodę.

Na jednym ze zdjęć: czterej mężczyźni podczas rąbania drzewa. Obejście Ulmów, ale jednak nikt z rodziny, z twarzy do reszty niepodobni. Żydzi.

Stukanie ze strychu

Stanisława Kuźniar nie umie powiedzieć, czemu Ulmowie zaprosili Żydów do domu. – Ludzie wiedzieli o tym, upominały Ulmów, żeby coś z tym zrobili. A Ulma wtedy palcem kiwał i mówił: nie sądzę drugiego, nie będziesz sądzony. Zawsze to powtarzał – twierdzi.

Nie wiadomo, w jakich okolicznościach pod koniec 1942 r. Ulmowie przyjęli pod swój dach ośmioro Żydów: Saula Goldmana z Łańcuta z czterema dorosłymi synami (nazywanymi Szallami) oraz dwie córki i wnuczkę Chaima Goldmana z Markowej: Leę Didner z dzieckiem i Gołdę Grünfeld. Wiadomo, że przed 1939 r. Saul Goldman handlował bydłem i często bywał w Markowej. Jeden z jego synów, którzy ukrywali się u Ulmów, brał udział w obronie ojczyzny we wrześniu 1939 r. Z kolei Lea i Gołda pochodziły ze średnio zamożnej rodziny. Skąd znali się wcześniej z Ulmami? I co sprawiło, że Ulmowie podjęli się ich ratowania? Choć znali dobrze ryzyko – sąsiadowali z polem,

na którym Niemcy regularnie rozstrzeliwali Żydów.

– One się nawet nie ukrywały. Drzewo różnęły na polu, razem z Ulmą skóry garbowały. Widać ich było. Jak rodzina z Ulmami żyły – mówi Stanisława Kuźniar. Na początku 1944 r. zamieszkała z Ulmami, by pomóc im przy dzieciach. – Przyszłam pomóc, pchać tę biedę z nimi razem. Byłam młoda, nawet się nie orientowałam, że w domu jest ktoś jeszcze, i że to Żydzi. Słyszałam tylko jakieś ruchy na strychu, stukanie, jakby ktoś chodził. Ale nie pytałam.

Miała szczęście, że u Ulmów została tylko kilka tygodni.

Wydarzenia z 24 marca 1944 r. pamięta minutę po minucie. – Była sobota, spowiedź odbywała się, ludzie szli z kościoła. Ktoś powiedział, że Ulmy rozstrzelane. Nikt nie mógł uwierzyć. Więc poszły my tam popatrzeć.

Trzy butelki

Z sądowej relacji świadka, furmana Edwarda Nawojskiego wynika, co następuje. Nocą z 23 na 24 marca 1944 r. z Łańcuta do Markowej przybyli niemieccy żandarmi i granatowi policjanci, pod wodzą szefa posterunku w Łańcutie porucznika Eilerta Diekena. Przed świtem wtargnęli do Ulmów. Jako pierwszy zginęli, we śnie, dwaj bracia Goldmanowie i Gołda. Potem żandarmi rozstrzelali kolejnych Goldmanów i Leę z córką. Następnie wyciągnęli przed dom Ulmów. Gdy strzelali do ciężarnej Wiktorii, zaczęła rodzić. Jeden z mężczyzn wkładających potem do trumny jej zwłoki zeznał przed sądem, że spomiędzy jej nóg wystawały główka i piersi dziecka.

Nad resztą dzieci Dieken się zawałał. Wreszcie postanowił je zabić, tak jak resztę, żeby „gromada nie miała z nimi kłopotu”. „Patrzcie, jak giną polskie świnie, które przechowują Żydów” – krzyczał żandarm. Te słowa zapamiętał furman Nawojski.

Po dokonaniu mordu żandarmi ograbili posesję i zabrali złoto znalezione przy Gołdzie Grünfeld. Na koniec urządzili libację. Z granatowymi policjantami opróżnili →



Goldmanowie przy cięciu i rąbaniu drewna na opał w obejściu Ulmów, gdzie się ukrywali.

→ trzy litrowe butelki wódki, pogrozili Polakom zajęciem chowaniem ciał i odjechali.

Stanisława Kuźniar: – Pobojuwisko tam było, szukane coś było pewnie. Józek był fotografem przecież, ile tam tych zdjęć rozsypanych było po ziemi! Poszłam na strych, patrzę: pusto i krew spływa po ścianie. Nieboszczyków nie widziałam, zakopane już były. Jeszcze Niemcy chcieli Ulmów z Żydami razem chować, ale ludzie ze wsi uprosili, żeby osobno.

Podejrzanie o donos padło na Włodzimierza Lesia, granatowego policjanta. Z Goldmanami miał utrzymywać kontakty, a w zamian za część przekazanego mu przez Żydów majątku miał udzielać im pomocy. Gdy przestał, próbowali odzyskać mienie. Leś miał wtedy zdradzić Niemcom miejsce pobytu Goldmanów. Aby upewnić się, że są u Ulmów, miał odwiedzić Józefa pod pretekstem wykonania zdjęć.

Polskie podziemie wykonało wyrok śmierci na Lesiu 10 września 1944 r. W 1958 r. przed rzeszowskim sądem stanął żandarm Josef Kokott, uczestnik rzezi. Karę śmierci zamieniono mu na dożywocie, zmarł w więzieniu. Dieken i inni żandarmi uniknęły sprawiedliwości. Po wojnie Dieken żył spokojnie w Niemczech Zachodnich.

Sad owocowy

Na 120 mieszkających w Markowej Żydów wojnę przeżyło 21. Prócz Ulmów we wsi Żydów ratowali też Michał i Maria Barowie, Józef i Julia Barowie, Antoni i Dorota Szylarowie, Michał i Katarzyna Cwynarowie, Jan i Helena Cwynarowie, Michał i Wiktoria Drewniakowie, Jan i Weronika Przybylakowie oraz inni. Najliczniejsza grupa Żydów schroniła się u Ulmów.

W 1995 r. izraelski instytut Yad Vashem przyznał Ulmom pośmiertnie tytuł Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. W 2003 r. w diecezji przemyskiej zaczął się proces beryfikacyjny rodziny (obecnie toczy się w Watykanie). W 2004 r. w Markowej odsłonięto pomnik upamiętniający Ulmów i żydowskie rodziny. W 2010 r. prezydent Lech Kaczyński odznaczył Józefa i Wiktoria pośmiertnie Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Wreszcie, od 2008 r. trwały prace nad muzeum Ulmów, dziś – Muzeum Polaków Ratujących Żydów.

17 marca tego roku otwarcia Muzeum dokonał prezydent Andrzej Duda. Obok stanęła ściana z nazwiskami wielu innych Polaków, którzy ratowali Żydów. Za Muzeum przygotowano miejsce pod owocowy sad

mający upamiętnić Żydów, którzy przeżyli, oraz kolejne pokolenia.

Wieczorami, gdy rozbłysła minimalistyczna w formie bryła budowli markowskiego Muzeum – swoim kształtem nawiązująca do domu rodzinnego Ulmów – na placu przed wejściem rozświetlają się tabliczki z imionami tych, którzy zginęli.

Honorowym gościem otwarcia była rodzina Abrahama Segala, uratowanego przez Jana i Helenę Cwynarów. Otwarcie poprzedziła w zamku w Łańcutie ceremonia wręczenia odznaczeń 53 Polakom ratującym Żydów.

Stanisława Kuźniar na ceremonię nie dojechała. Tego dnia musiała być w szpitalu. O Muzeum dopytuje i bardzo chce je zobaczyć. – Niech będzie pamiątka po tych Ulmach – mówi – co to się upomnień sąsiedzkich nie bali, a nawet i śmierci. ©

KAROLINA PRZEWROCKA
Współpraca WOJCIECH BĄK

Korzystałam z książki Mateusza Szpytmy
**SPRAWIEDLIWI I ICH ŚWIAT. MARKOWA
W FOTOGRAFII JÓZEFA ULMY**

Muzeum w internecie: muzeumulmow.pl



GRAŻYNA MAKARA

Muzeum w Markowej, marzec 2016 r.

Zmiana krajobrazu pamięci

DR MATEUSZ SZPYTMA, DYREKTOR MUZEUM POLAKÓW RATUJĄCYCH ŻYDÓW:

W Markowej nie wybielamy pamięci. Pokazujemy, gdzie są bohaterowie i jaki jest wzór do naśladowania.

KAROLINA PRZEWROCKA: W 2012 r. pisał Pan w „Tygodniku”: „Polacy, którzy 70 lat temu ratowali Żydów i zapłacili za to życiem, w ogromnej większości nie mają do dziś nawet skromnych pomników, które mówiłyby o ich bohaterstwie. Czas to zmienić”. Dziś rozmawiamy w Pana gabinecie w Muzeum Polaków Ratujących Żydów im. Rodziny Ulmów. Gratuluję.

MATEUSZ SZPYTMA: Gdy to pisałem, trwały jeszcze prace nad naszym Muzeum. W 2008 r. Urząd Marszałkowski Województwa Podkarpackiego wyraził wolę jego budowy, w 2010 r. projekt znalazł się w wieloletnim planie inwestycyjnym. Pieniądze na budowę były zapewnione i wybrany był tzw. inwestor zastępczy – Muzeum-Zamek w Łańcucie.

Formalnie Muzeum w Markowej nie jest dziełem IPN, ale muszę przyznać, że bez niego nas by tu nie było. Sam od 2000 r. pracuję w IPN i wiem, że bez przyzwolenia na zajęcie się tematem Ulmów – co godziłem przecież z innymi obowiązkami – nie miałbym możliwości stworzenia tego Muzeum. Wszyscy kolejni prezesi, moi szefowie, bardzo mnie w tym wspierali.

Ponadto od 2012 r., od tamtego artykułu, w Polsce pojawiły się też nowe inicjatywy, budował się dobry klimat. Otworzono m.in. Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Sytuacja się zmieniła.

Co dokładnie ma Pan na myśli?

Krajobraz pamięci. Ludzie zaczęli ze sobą rozmawiać, przypominać sobie, że w ich ro-

dzinach ktoś ratował Żydów. A trzeba wiedzieć, że w tym temacie ludzie otwierają się zwykle po bardzo długim czasie.

Może była to odpowiedź na toczącą się debatę? Na spory wokół książki Grossa, na historie o Polakach pazer-nych i okrutnych, żerujących podczas wojny na Żydach?

Geneza powstania naszego Muzeum jest jednak inna. Ono powstało jako kontynuacja projektu zbudowania pomnika Ulmów i zabitych wraz z nimi rodzin żydowskich, który postawiliśmy w Markowej w 2004 r., w 60. rocznicę zbrodni. Fakt postawienia pomnika został dostrzeżony w Izraelu i nagle zaczęły do nas przyjeżdżać stamtąd wycieczki. Pomyślałem, że warto byłoby je

→ tu na chwilę zatrzymać. Żeby nie stały tylko pod pomnikiem, lecz aby miały dokąd pójść. Do miejsca, w którym będzie można pokazać im tę historię w szczegółach. Z myślą o izraelskich uczniach upierałem się potem przy idei trójjęzyczności wystawy. Miała opowiadać historię Ulmów po polsku, angielsku i hebrajsku.

Hebrajski to niezbyt tani język do tłumaczenia.

Właśnie dlatego wielu osobom ten pomysł się nie spodobał. Mówili: po co, przecież wszyscy Żydzi mówią po angielsku. Ale się uparłem. Bo, po pierwsze, nie każdy zna angielski. A po drugie, gdybym pojechał do Izraela i trafił do muzeum chrześcijaństwa, które opowiadałoby historię w języku polskim, to po powrocie do domu opowiadałbym wszystkim znajomym: jedźcie tam i to zobaczcie. Pomyślałem, że gdy Żydzi przyjadą i zobaczą naszą wystawę po hebrajsku, to wrócą do Izraela i będą zachęcali innych do odwiedzenia nas.

Ta debata, o której pani wspomina, jest ciągle aktualna i głośna – przecież sprawy polsko-żydowskie są szeroko dyskutowane w mediach. A skoro tak, to ona nam tylko w pracach nad Muzeum pomaga. Może nawet je ułatwia.

Muzeum może wpłynąć na tę debatę? Stanie się głosem w dyskusji?

Chciałbym, żeby tak było. Żeby Muzeum przypominało, że tych polskich Sprawiedliwych trochę było. Może zbyt mało w stosunku do potrzeb, ale jednak. Chciałbym też, aby młodzi Żydzi, którzy przyjadą do Polski, oprócz Auschwitz czy Płaszowa zobaczyli też Markowę. Od żydowskich znajomych usłyszałem już zresztą, że to świetnie, że zdecydowaliśmy się na taką koncepcję markowskiego Muzeum.

Co Pan tym młodym Żydom opowie? Dlaczego historia Ulmów – Józefa i Wiktorii oraz siedmiorga ich dzieci – jest tak wyjątkowa?

Rodzina Ulmów jest wyjątkowa nie tyle z powodu ratowania Żydów – bo to nie jedyna cała rodzina, która za to zginęła, wspomnijmy choćby Kowalskich czy Baranków. Wyjątkowość Ulmów polega na tym, że zachowała się po nich spuścizna. Po żadnej innej rodzinie nie ma kilkuset zdjęć, sprzętów domowych, dowodów procesów sądowych, dokumentów polskiego podziemia, które mówią o zbrodni. A tu wszystko się zachowało. Mało tego: mogliśmy to wszystko pokazać w naszym Muzeum. Miejsce też jest nietypowe. Markowa to wieś, w której dziś w ogóle nie ma odłogów. Mieszka tu niezwykle pracowita społeczność, zaradna i pracowita, gospodarna, „za ziemią”.

I solidarna? W 1942 r. Ulmowie przyjęli pod swój dach ośmioro Żydów: Saula Goldmana z czterema synami, Goldę Grünfeld i Leę Didner z córką. Dlaczego to zrobili?

Motywacji można się tylko domyślać, bo nie przeżył nikt, kto mógłby coś o tym powiedzieć. Natomiast z moich badań wynika, że pomocy udzielało się zwykle tym Żydom, których znało się przed wojną, gdy istniały jakieś wcześniejsze wzajemne relacje. Trzeba było kogoś znać, ufać mu, wiedzieć, jak się zachowa, czy nie wyda. Z drugiej strony – nie jest łatwo wprowadzić kogoś pod swój dach, jeśli się go nie zna. Gołda i Lea były sąsiadkami Ulmów, a z Goldmanami Ulma przed wojną handlowała.

Podczas ukrywania wchodziły w grę pieniądze?

Nie sądzę. Wiemy, że gdy Niemcy przyszli do Ulmów, znaleźli przy Żydach złoto, kosztowności. To był 1944 r., prawdopodobnie drugi rok ich życia w ukryciu. Co prawda w jednym z dokumentów podziemia jest mowa, że ukrywanie trwało tylko kilka dni, ale inne świadectwa wskazują, że mogło ono trwać kilkanaście miesięcy. Sądzę, że gdyby Ulmowie mieli coś dostawać za pomoc, tego złota przy Żydach by nie odnaleziono. Natomiast na pewno był tu jakiś element, nazwijmy to, wspólnej pracy. W czasie wojny Józef trudnił się garbowaniem skór. Ukrywani Żydzi pomagali mu w tym.

Ilu Żydów przetrwało w Markowej?

Ze 120 Żydów, którzy żyli tu przed wojną, przeżyło 21. Ratowało ich osiem rodzin.

Czyli ratujący byli w znacznej mniejszości.

Tak. Choć uważam, że to była istotna mniejszość, skoro prawie 20 proc. żydowskiej populacji przeżyło. Jak na tę wojnę, to niemało. Ale oczywiście wciąż niewiele w porównaniu z potrzebami.

Pomagający w wiosce wiedzieli o sobie nawzajem?

Nie wiedzieli. Do dziś właściwie. Jakiś czas temu napisałem do wnuka jednego z ocalałych Żydów, a on mi odpisał: pamiętaj, że tylko moja rodzina uratowała się w Markowej. Dopiero ja mu powiedziałem, że ocalałych było więcej, i że dziś – z tego, co wiem – żyje jeszcze dwóch. Nie mógł uwierzyć. Zdziwiło mnie to. Myślałem, że Żydzi pochodzący z tej samej wioski wiedzieli o sobie nawzajem, mieli ze sobą jakiś kontakt po wojnie. Okazuje się, że nie. Rozjechali się po świecie. A może to trauma sprawiła, że nie chcieli o tym rozmawiać? Tak jak pewna pani z Kanady, która odmówiła mi rozmowy. Powiedziała, że musiałaby

wówczas wrócić do tego czasu, kiedy przez dwa lata siedziała w ciemnej piwnicy, za barakami. I że ta piwnica ciągle w niej jest.

24 marca 1944 r. niemieccy żandarmerii rozstrzelali całą rodzinę Ulmów i wszystkich ukrywających się w ich domu Żydów. Podobno doniósł na nich granatowy policjant Włodzimierz Leś.

W dokumencie, który przedstawiamy na wystawie zapisano, że jest o to podejrzaany. Zachowane dokumenty dotyczące tej sprawy koncentrują się na poszlakach, ale wszystko wskazuje, że to był on. Jednak nie zachował się wyrok czy uzasadnienie. Karę śmierci wymierzyło Lesiowi we wrześniu 1944 r. polskie podziemie. Nie żyje nikt, kto pamiętałby okoliczności jego skazania. Co ciekawe, gdy sprawa stała się głośna, dostałem anonim. Przyszedł na adres Oddziału IPN w Krakowie, a podpisano go „Rodzina Lesia”. Pisano do mnie: „Proszę nie mówić, że na Ulmów doniósł Włodzimierz Leś. To nieprawda, on o tej sprawie wiedział i się wygadał przypadkiem. Potem bardzo tego żałował”. 12 lat temu miałem kontakt z pasterką Lesia, prawie 90-letnią. Mówiła, że ojczym był tak dobrym człowiekiem, iż nie wierzy, że mógłby zrobić coś tak okropnego. To samo w liście do nas pisała córka Diekena.

Niemca, szefa łańcuckiej żandarmerii, który kierował mordem Ulmów i Żydów.

Dokładnie. Przygotowując wystawę do Muzeum, rozesłaliśmy wiele listów do niemieckich archiwów z prośbą o udostępnienie materiałów. Bardzo długo szukałem informacji o poruczniku Eilercie Diekenie. I pewnego dnia „wyskoczył” mi w internecie. Dowiedziałem się, że w 1953 r. brał udział w przetargu na remont posterunku policji w Esens, w ówczesnych Niemczech Zachodnich. Napisałem tam i w odpowiedzi otrzymałem dwa zdjęcia grupowe policjantów, wśród których był Dieken. Po kilku miesiącach nadszedł list od jego córki, której miejscowi policjanci opowiedzieli o naszym liście. Pisaliśmy w nim, że przygotowujemy ekspozycję do muzeum poświęconego rodzinie Ulmów, i że szukamy informacji o poruczniku Diekenie. Przypuszczam, że jego córka zrozumiała to tak, iż chcemy upamiętnić jej ojca, który – wedle jej przekonania – w czasie wojny utrzymywał porządek w Łańcucie i okolicy... Przesłała nam jego zdjęcia w mundurze żandarmerii i napisała, że bardzo się cieszy, iż o ojcu opowie nasze Muzeum, bo wie, że on był dobrym człowiekiem i bardzo się przysłużył lokalnej społeczności... Przecierałem oczy ze zdumienia.

Odpisał Pan?

Więcej: pojechałem do Esens. Wcześniej przygotowaliśmy wszystkie informacje, ja-



GRAZYNA MAKARA

Mateusz Szpytma w Muzeum; w tle fragment ekspozycji: powiększone zdjęcie rodziny Ulmów, zrobione przez Józefa Ulmę. Markowa, marzec 2016 r.

kie zebraliśmy na temat jej ojca i je przetłumaczyliśmy. Zabrałem ze sobą cały materiał. Wszedłem do domu tej pani i zobaczyłem siwiuteńką 85-letnią staruszkę. Pomyślałem, że skoro przez cały czas żyła w przeświadczeniu, iż jej ojciec był dobrym człowiekiem, to taka wiadomość rzucona ot tak przez przybysza z Polski mogłaby ją zabić. Dlatego delikatnie wyjaśniłem, że zebraliśmy informacje o jej ojcu, i że znajdzie je w tej kopercie, którą zostawiam, a o którego otwarciu może zdecydować sama. Odtąd nie mieliśmy z nią kontaktu. Nie wiem, co zrobiła z kopertą.

Wspomniał Pan, że mieszkańcy oficjalnie nie wiedzieli nic o pomocy niesionej Żydom. Jak na sytuację reagował ówczesny proboszcz w Markowej?

Nie wiemy zbyt wiele na ten temat. Proboszcz Ewaryst Dębicki był kapłanem miejscowej AK, człowiekiem światłym, o krok od zrobienia habilitacji. Nie zachowywały się żadne materiały, które świadczyłyby o jego stosunku do ratowania Żydów. Żydzi z Kanady napisali mi, że pamiętają go czytającego w kościele niemieckie komunikaty rozkazujące wydawać ukrywających się Żydów. Badałem to później i z moich informacji wynika, że to nie ksiądz, ale sotys czytał, i nie w kościele, tylko pod kościołem. Proboszcz zmarł w 1981 r., nie dane mi było z nim porozmawiać.

A dziś? Jak mieszkańcy reagują na nowe Muzeum?

Bardzo różnie. Mamy tu szeroki wachlarz opinii. Od bardzo zadowolonych przez obojętnych aż po takich, którzy są przeciwni.

Dlaczego?

Uważają że szkoda pieniędzy na takie rzeczy. Że lepiej dać na drogi, żłobki, domy starców, a nie jakieś tam muzea.

A co mówią o Żydach?

Stosunek mieszkańców do Żydów stał się cieplejszy dzięki Abrahamowi Segalowi, jednemu z ocalałych w Markowej. Segal przeżywał w nietypowy sposób, bo podawał się za Polaka. Rodzina Cwynarów, u której zatrudnił się jako pastuch, zorientowała się wkrótce, że jest Żydem i postanowiła mu pomóc. Rodzina Segala była teraz gościem honorowym na ceremonii otwarcia Muzeum w Markowej. Tym razem on sam nie mógł przyjechać. Szkoda, bo ludzie tu lubią, gdy przyjeżdża: jest serdeczny, rozmawia ze wszystkimi. Wielokrotnie publicznie wyrażał wdzięczność za uratowane życie. A razem z nim przyjeżdżają jego dzieci, wnuki, prawnuki, te spotkania są naprawdę bardzo serdeczne. To zupełnie zmienia w Markowej atmosferę wokół tematu Żydów. Segal zbudował tu pozytywne relacje polsko-żydowskie.

A jak się we wsi patrzy na Pana? Młody, co to w Markowej wyrósł, po latach wrócił i teraz robi zamieszanie?

Nikt mi nigdy czegoś takiego w twarz nie powiedział. Zresztą mieszkańcy wiedzą, że w Markowej robię też inne rzeczy, takie,

z którymi jestem związany w mojej pracy naukowej – bo relacje polsko-żydowskie i historia Ulmów to tylko jej część. W Towarzystwie Przyjaciół Markowej mam wykłady o historii ruchu ludowego, o markowskich rolnikach i Solidarności rolniczej, prowadzę spotkania, debaty.

A jednak historia Ulmów ma w Pana życiu szczególne znaczenie, również z uwagi na więzy rodzinne.

Z Ulmami jestem spowinowacony na dwa sposoby. Po pierwsze, moja babcia, mama taty, była siostrą Wiktorii Ulmy. Babcia bardzo przeżywała śmierć siostry, która była najmłodsza spośród dwunastki rodzeństwa, najbardziej wychuchana. Moi bracia pamiętają, jak powtarzała czasem w kółko: „Wik-tusi nie ma, Wik-tusi nie ma”... Po drugie: Wiktoria była matką chrzestną mojego ojca. Przez kilka lat mieszkalem w domu mojej babci, który Wiktoria często odwiedzała.

Babcia wiedziała, że Ulmowie ukrywali Żydów?

Nie wiem. Umarła, gdy byłem mały. Nie zdążyłem zadać jej tych pytań.

Ktoś z rodziny wiedział?

Kuzyn Józefa, Antoni Szpytma, wiedział. Pomagał Ulmom w tym ukrywaniu.

Jak dowiedział się Pan o tej historii?

Podczas oglądania rodzinnych albumów fotograficznych. Jako dziecko bardzo to lubiłem. Miałem może 10 lat, gdy dotarło do →

→ mnie, że coś się nie zgadza. Spora część zdjęć ukazywała osoby, których nie rozpoznawałem. Zapytałem mamę i tatę, kim są ludzie na zdjęciach. Powiedzieli, że to Ulmowie, którzy zostali zastrzeleni przez Niemców. Wtedy nie zadawałem więcej pytań, przyjąłem do wiadomości, że to część mojej rodziny.

Co mówiło się w Pana wsi na temat czynu Ulmów?

Bardzo różnie się mówiło. Nie chcę tu wnikać w szczegóły. Jedno wiem na pewno: osobisty kontakt wiele zmienia. Tak jak wiele zmieniły przyjazdy Segala do Markowej, tak i u mnie pewnie inaczej byłoby, gdyby był taki kontakt.

Chce Pan ten kontakt umożliwić przez Muzeum? Markowa zbliży Polaków i Żydów?

Tak, chciałbym tego. Chcemy organizować spotkania, w których będą brali udział mieszkańcy Markowej, także starsi – świadkowie historii.

Czym dla Pana jest to Muzeum?

Przypomnieniem i złożeniem hołdu tym wszystkim, którzy ratowali Żydów, a szczególnie rodzinie Ulmów. Miejscem, które ma pokazać ich heroizm: to, że się zdecydowali pomóc innym, którzy są w jeszcze gorszej sytuacji, mimo tak ogromnego ryzyka. Oni udowodnili, że są gotowi oddać za to życie.

A osobiście? Muzeum to przecież ukoronowanie lat Pana pracy.

Odczuwam jakąś satysfakcję. Wraz z Bogdanem Romaniukiem jestem autorem tego pomysłu, chodziłem za nim przez wiele lat i sporo nad nim pracowałem. Zostawiłem tu kilka lat mojego życia. Cieszę się, że się udało.

Koszty budowy pokryły województwo podkarpackie i Ministerstwo Kultury. Ile kosztuje markowskie Muzeum?

Niemal dziewięć milionów, w tym milion z Ministerstwa Kultury i działki od gminy. To duży wydatek z budżetu niebogatego przecież województwa. Na tyle duży, że właściwie budowę powinno było w pełni zająć się państwo, w sensie: instytucje centralne.

Tym bardziej że poprzednia minister kultury Małgorzata Omilanowska nadała Muzeum rangę placówki ogólnopolskiej.

Obecny marszałek Władysław Ortyl napisał do poprzedniej pani minister z prośbą o zgodę na rozszerzenie zasięgu Muzeum z podkarpackiego na ogólnopolskie. I taka zgoda została w 2015 r. wydana. Oczywiście tak szybko nie mogliśmy zmienić przygotowanej wcześniej wystawy. Obecnie zatem Muzeum jest poświęcone wszystkim Polakom ratującym Żydów, natomiast scenogra-



GRAŻYNA MAKARA

Markowa, marzec 2016 r.

fia stałej wystawy opowiada o Podkarpaciu. Specjaliści twierdzą, że żywotność wystawy to 10 lat – rozumiem więc, że za 10 lat zrobimy inną stałą wystawę, tym razem ogólnopolską. Tymczasem do dyspozycji w Muzeum mamy jeszcze jedną salę, w której będą gościły wystawy czasowe. Najnowsza – o Polakach ratujących Żydów – czeka na zamontowanie. Jak widać, Muzeum nie jest duże...

Taki dom.

No właśnie. Daliśmy do konsultacji nazwę Muzeum i ktoś z polskiej ambasady w Izraelu zasugerował, aby polską nazwę w tłumaczeniu na hebrajski dostosować do lokalnej tradycji i zamiast słowa „muzeum” użyć słowa „dom”. Więc po hebrajsku nazywamy się Dom Rodziny Ulmów.

Dom także, jeśli chodzi o obsadę.

Na razie mam tu tylko jednego pracownika, nie licząc dozorców i sekretarki. Mam nadzieję, że w przyszłości będzie ich więcej. Bo trudno robić badania czy pracę edukacyjną z tak małym zespołem. Choć jak na tak małe miejsce, i tak dużo się dzieje dookoła.

To znaczy?

Rafał i Julita Wieczyńscy, reżyser i producentka, myślą o zrobieniu filmu fabularnego o rodzinie Ulmów. Trwają ustalenia z koproducentami. Mogę zdradzić, że roboczy tytuł filmu to „Spójrz mi w oczy”. Poza tym przy okazji otwarcia Muzeum zaczęto podejmować inicjatywy dla upamiętnienia żydowskich mieszkańców Podkarpacia. 17 marca w Jagiello stanęła macewa – z napisami w trzech językach – na miejscu pochówku 375 Żydów. Marszałek województwa po rozmowie z mieszkanką Nowego

Jorku, Sherry Fischbein, zainicjował uporządkowanie i odremontowanie macew na żydowskim cmentarzu w Ulanowie.

Na ścianie przed Muzeum znalazły się imiona Polaków ratujących Żydów. Nie wszystkie te osoby otrzymały tytuły od Yad Vashem. Czym różni się polskie odznaczenie państwowe od izraelskiego?

Definicja Polaka ratującego Żydów nie jest jeszcze doprecyzowana. W IPN trwają nad tym prace. W naszym Muzeum bazujemy na badaniach pracowników rzeszowskiego Oddziału IPN. Część osób wymienionych na naszej tablicy posiada tytuł z Yad Vashem, a część nie – z różnych powodów, związanych najczęściej z tamtejszymi bardzo ścisłymi kryteriami. My działamy trochę inaczej: nawet jeśli nie żyje żadna z osób, które mogłyby fakt pomocy potwierdzić, a z naszych gruntownych badań wynika, że bez wątpienia ratowanie miało miejsce, to wówczas decydujemy o umieszczeniu tabliczki.

Co powinna zrobić osoba, w której rodzinie zdarzyła się taka historia?

Napisać wniosek i swoją relację, dołączyć wszystkie możliwe dokumenty i przesłać do nas [patrz także rozmowa z Aleksandrą Namysł w tym dodatku – red.]. Czasem zdarza się, że po otrzymaniu polskiego odznaczenia dana osoba otrzymuje również tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata z Yad Vashem. Tak było w przypadku Baranków, w nagłośnieniu historii których miałem swój udział. Zainicjowałem zorganizowanie przez samorząd uroczystości upamiętniających tę rodzinę, co zmobilizowało jej członków do pozbierania dokumentacji i przesłania do Yad Vashem. Dwa lata trwała procedura, aż wreszcie dostali medal.

Właśnie dostałem od kogoś plik dokumentów z prośbą o przesłanie do IPN. Proszę spojrzeć, czytamy tu: „Moja żona i dziecko były ukrywane u Stanisława Baja od lipca 1942 roku do lipca 1944”. Podpisano: Fajwel i Malka Fingerhood ze stanu Nowy Jork. Nazwiska Baja nie ma ani w Yad Vashem, ani na markowskiej tablicy.

To honor mieć taką historię w rodzinie.

Nie dla każdego. Są tacy, którzy nie chcą medalu.

Jak to?

Mówią: po co nam to, co z tego, żeśmy pomogli. Część wychodzi z założenia, że taka pomoc to coś zupełnie naturalnego i medal się za to nie należy. Innym ta historia jest zupełnie obojętna.

Może gdyby Pan nie przyszedł i nie powiedział o tym, toby nawet nie wpadli na pomysł, aby sprawdzić.

Czasami przyczyną jest też trauma. Okropna trauma. Pewna pani, Polka, niemal mnie przegoniła z podwórka. Gdy tylko zacząłem z nią o tym rozmawiać, wrócił jej cały stres ukrywania. Okazało się, że minęło tyle czasu, a ona wciąż nim żyje. Odmówiła jakichkolwiek honorów. I miałem kłopot, bo wszyscy sąsiedzi mówili mi, że ta pani ukrywała Żydów, a nie miałem na to żadnego dowodu. Wreszcie pewnego dnia w ŻIH-u znaleziono wszystko, czego potrzebowałem. I się zgadzało: imiona, nazwiska, Markowa. Kobieta nadal jednak nie chciała rozmawiać. Rozmawiałem z jej siostrą i ostatecznie zaproponowałem tę siostrę do odznaczenia. W 2009 r. otrzymała medal od prezydenta Lecha Kaczyńskiego. I w swojej mowie siostra powiedziała: ja trochę pomagałam, ale w porównaniu z ogromem pracy mojej siostry nie zrobiłam nic. Potem rodzina tej pani opowiadała mi, że dopiero po tym wszystkim ona po raz pierwszy w szczegółach opowiedziała im, co się działo, płacząc. Mówiła, że przeżyła najlepsze lata swego życia, bojąc się o Żydów i o siebie, i że z tym stresem nigdy sobie nie poradziła.

Niezwykły przykład altruizmu...

Właśnie: aspekt altruizmu jest istotny dla Yad Vashem. Co z osobami, które za pomoc dostawały wynagrodzenie. Też zasługują na polskie odznaczenie?

Uważam, że jeśli ktoś zawiązał umowę z żydowską rodziną i dostał za pomoc pieniądze, to należy mu się tytuł osoby ratującej Żydów – pod warunkiem że wywiązywał się z tej umowy. Znam przypadki, w których rodziny wręcz spisywały takie umowy na papierze. Czytamy w nich na przykład, że w zamian za pomoc polska rodzina otrzymała od Żydów po wojnie kamienicę. To nie jest przykład altruizmu i pewnie Yad Vashem miałoby problem z uznaniem tego przypadku. Co nie zmienia faktu, że tacy ludzie zasłużyli, aby uznać, iż ratowali Żydów. Tak czy siak przecież ryzykowali życiem. Pobieranie opłaty nie byłoby w oczach Niemców okolicznością łagodzącą... Były też mniej chwalebne przypadki: ktoś się na coś umówił, a nagle polska strona próbowała wyciągnąć więcej korzyści lub wręcz wyrzucała Żydów, gdy pieniądze się kończyły. Takich osób oczywiście bym nie honorował.

Irena Steinfeldt, dyrektorka Departamentu Sprawiedliwych w Yad Vashem apeluje, by nie używać liczb nagrodzonych do celów politycznych. Że to umniejsza ich dzieło. A u nas często rzuca się liczbami. Co Pan o tym sądzi?

Z liczbami jest kłopot, bo na dobrą sprawę ich nie znamy. Żaden historyk ze stuprocentową pewnością nie powie, ilu Żydów zdołało się dzięki Polakom uratować, a ilu zosta-

ło przez nich skrzywdzonych. Naszym celem powinno być teraz ustalenie tych liczb, na ile to jeszcze możliwe, i pokazanie prawdziwej skali sytuacji. Chciałbym mieć np. rejestr województw z liczbami, wioska po wiosce. Choć historia ma to do siebie, że nawet gdy taki rejestr stworzymy, i tak nie odkryje przed nami wszystkiego.

Jak to jest, że nie mając dość danych, szastamy liczbami na prawo i lewo?

Mam skrzywienie zawodowe, które każe mi wnikać głęboko w każdą wypowiedź rozmówcy i zastanawiać się, jaki jest kontekst tej wypowiedzi i czy przypadkiem on tu czegoś nie przekłamuje. Nie zmienię tego, że historia jest wykorzystywana do różnych celów. Ale to nie jest wina historyków.

O Janie Tomaszu Grossie powiedziałby Pan to samo?

To przykład wyciągania ogólnych wniosków na podstawie nielicznych danych. To bardzo niebezpieczne.

Skoro Gross nie ma racji, to kim byli w czasie II wojny światowej Polacy? Bohaterami czy tchórzami? Da się sformułować jednoznaczną odpowiedź?

Byli i tacy, i tacy. Sądzę, że ważny w tej ocenie jest jeszcze jeden fakt: Polskie Państwo Podziemne zawsze stało po dobrej stronie. Owszem, możemy się z kolegami historykami spierać, czy to była wystarczająca pomoc, czy można było zrobić więcej. Ale nie można zaprzeczyć, że zbrodnie na Żydach były nagłaśniane i piętnowane, była Rada Pomocy Żydom. A więc państwo, choć funkcjonujące w podziemiu, stało po dobrej stronie. Ale ludzie byli różni. Powiedziałbym tak: patrząc z punktu widzenia kary śmierci, która w okupowanej Polsce groziła za pomoc Żydom – pomagało dużo ludzi. Patrząc z punktu widzenia potrzeb – mało.

Nasza debata na ten temat nie jest zbyt znana w Izraelu. Warto byłoby to zmienić. Muzeum Ulmów będzie stałym punktem izraelskich wycieczek szkolnych?

Byłoby wspaniale! Gościliśmy już u nas przedstawicieli izraelskiego Ministerstwa Edukacji, w kwietniu będą u nas goście izraelscy nauczyciele i przewodnicy wycieczek. Już teraz do Markowej zjeżdżają całe wycieczki. Mam nadzieję, że będzie ich więcej.

Liczy się Pan z tym, że będą zadawać niewygodne pytania i konfrontować Muzeum z wiedzą, którą wynieśli z rodzinnych domów? Ta wiedza często nie jest miła dla polskich uszu.

Jestem na to przygotowany. Sądzę też, że narracja, którą prezentujemy na wystawie, nie jest jednostronna. Mamy dział poświę-

cony donosom na Polaków ratujących Żydów. Jednym z eksponatów jest np. ostrzeżenie, które znalazłem w rodzinnych dokumentach: adresowane do mojego pradziadka, o którym ktoś sądził, że ukrywa Żydów.

Na wystawie nie znalazłam ani słowa o drugiej stronie medalu: o mordach na Żydach, które też miały miejsce na Podkarpaciu, przy współudziale Polaków. Np. w Gniewczynie w 1942 r. miejscowi Polacy ograbili, uwięzili i torturowali osiemnaścioro Żydów. Kobiety gwałcono. Potem wydali ich Niemcom.

Nie ma wątpliwości – były przypadki wydawania Żydów, a nawet ich mordowania. Wiem, jak takie historie wyglądały. Zbadałem np. poszukiwania w grudniu 1942 r. ukrywających się Żydów w Markowej. Niemcy wymusili je na mieszkańcach. Znalezione wtedy 25 Żydów, których żandarmeria niemiecka następnego dnia rozstrzelała. Na wystawie pokazany jest także przypadek zamordowania Żyda przez Polaka, który go ukrywał. Jestem przygotowany na takie pytania.

Czy Muzeum i jego koncept może pomóc nam w zrozumieniu siebie? Co zmieni się w debacie publicznej po otwarciu Muzeum?

Powiem tak: wiem, że wielu Polaków zginęło z rąk Ukraińców, ale wiem też, że byli Ukraińcy, którzy Polaków ratowali. Gdyby więc na Ukrainie powstało muzeum Ukraińców ratujących Polaków, to byłbym wdzięczny, że odwołują się do tak szlachetnych wątków w swojej historii. Nie zarzucałbym im, że próbują swoją historię wybielić. A mówię tak pomimo tego, że moim zdaniem trudno jest porównać to, co Ukraińcy podczas II wojny światowej czynili z Polakami, z tym, co Polacy uczynili wobec Żydów.

Tak, mam nadzieję, że nasze Muzeum weźmie udział w debacie publicznej. Że pokaże, iż nawet w najtrudniejszych czasach może znaleźć się grupa ludzi, którzy potrafią pomóc słabszym, mimo ryzyka i zagrożenia dla własnego życia. I że potrafimy to docenić, zadbać o tę pamięć oraz postawić sobie tych ludzi za wzór do naśladowania. Bo gdy szukamy wzorów, nie odwołujemy się do szmalcowników i morderców, lecz do tych podających rękę, do bohaterów. Co nie znaczy, że nie zdajemy sobie sprawy z obecności tych pierwszych. ©

Rozmawiała KAROLINA PRZEWROCKA

DR MATEUSZ SZPYTMA (ur. 1975) jest historykiem, pracownikiem IPN w Krakowie, współinicjatorem i dyrektorem Muzeum w Markowej. Autor i współautor książek, m.in. „The Risk of Survival. The Rescue of the Jews by the Poles and the Tragic Consequences for the Ulma Family from Markowa” (2009), „Sprawiedliwi i ich świat” (2015).



Żydowskie mieszkanki Markowej podczas okupacji; zdjęcie Józefa Ulmy. Plamy na fotografii to ślady krwi ofiar mordu z 24 marca 1944 r.

Wciąż dostajemy wiele świadectw

IRENA STEINFELDT, DYREKTORKA DEPARTAMENTU SPRAWIEDLIWYCH W YAD VASHEM:

Komentując debatę wokół Jedwabnego Szewach Weiss mówił, że Polska musi sobie poradzić z tą stodołą, ale że on, Weiss, pamięta też inne stodoły, w których Polacy ukrywali Żydów. I tak to jest: historia leży między Markową a Jedwabnem.

KAROLINA PRZEWROCKA: Podczas niedawnej debaty w Parlamencie Europejskim prof. Jan Żaryn mówił, że Polaków ratujących Żydów było przynajmniej kilkaset tysięcy, może nawet ponad milion. Według polskich historyków liczba pomagających waha się od kilkudziesięciu do kilkuset tysięcy. Yad Vashem przyznał dotąd Polakom 6620 tytułów Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Jak to jest z tymi liczbami?

IRENA STEINFELDT: Liczba 6620 dotyczy tytułów przyznanych w Yad Vashem przez Komisję ds. Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. To oznacza, że ktoś złożył u nas aplikację, aby daną osobę wyróżnić tym tytułem, i że istniała wystarczająca liczba dowodów, które potwierdzały wagę jej czynu. A jak to jest z liczbami? Z wykształcenia jestem matematykiem i mogę powiedzieć, że statystycznie rzecz biorąc liczby 6620 nie można nazwać próbą reprezentatywną.

Dlaczego? Przecież liczba Polaków uhonorowanych tym tytułem jest największa spośród innych uhonorowanych narodowości. To chyba o czymś świadczy? Kto w końcu pomagał bardziej: my czy Holendrzy, Francuzi, Ukraińcy?

Ależ te porównania są bez znaczenia! Mają znaczenie wówczas, gdy są wykorzystywane do celów politycznych.

Zaraz, zaraz. Jak to bez znaczenia?

Proszę przyjrzeć się liczbom uważnie. W Polsce mamy ponad 6,5 tys. Sprawiedliwych, a przed wojną mieszkało tam ponad 3 mln Żydów. Francuzom przyznano prawie 4 tys. tytułów, przy liczbie 300 tys. Żydów mieszkających w tym kraju.

To jednak o niczym nie świadczy. Tam były inne realia, ukrywanie Żydów w okupowanej Francji było mniej niebezpieczne dla ukrywającego niż w okupowanej Polsce.

Oczywiście – i czy te liczby oznaczają, że Francuzi byli lepsi niż Polacy? Nie! To oznacza, że Yad Vashem uhonorował taką liczbę Polaków i taką liczbę Francuzów. Poza tym, aby otrzymać bardziej kompleksowy obraz sytuacji, trzeba zagłębić się w kontekst, nie wystarczy porównywać liczby Sprawiedliwych. Muszę przyznać, że bardzo mnie boli instrumentalne wykorzystywanie Sprawiedliwych. Na przykład do celów politycznych.

Dlaczego?

Bo to automatycznie umniejsza ich rolę i depcze po ich pamięci. Sprawiedliwi obawiali się nie tylko Niemców, ale bali się też reakcji w swoim sąsiedztwie, nawet w swoich rodzinach. Jeśli o tym zapominasz, jeśli usuwasz to z pełnego obrazu historii, to umniejszasz heroizm tych wspaniałych Polaków. Rodzinę Ulmów ktoś zademonstrował – czy możemy o tym zapomnieć, opowiadając ich historię?

Ale w Polsce chcemy wiedzieć konkretnie. Pomagaliśmy bardziej czy mniej? Gdzie leży prawda o nas: w Markowej czy w Jedwabnem?

Sprawiedliwy to tytuł nadawany indywidualnie. Mówi o postawie jednostki, nie narodu. Sprawiedliwych nie powinno się porównywać, bo dezawuuje to ich czyny. A jeśli już chce się prowadzić prawdziwe badania nad tym tematem, należy wziąć pod uwagę szerszy kontekst udzielania pomocy Żydom w tamtym czasie. Mamy więc ludzi, którzy owszem, ratowali, ale w zamian za konkretne zyski. Mamy ludzi, którzy pomagali, a potem stawiali się nawet mordercami – bo zaczęli się nagle bać o swoją rodzinę albo kończyli się pieniądze. Ale mamy też ludzi, którzy nie otrzymali tytułu Sprawiedliwego, bo nie zakwalifikowali się do surowych kryteriów Yad Vashem, choć okazywali Żydom sympatię i pomoc: dawali pieniądze, jedzenie, wskazywali miejsce, w którym mogli się ukryć. Należy patrzeć na całą paletę zachowań i kontekstów. Ta historia nie jest czarno-biała.

Założeniem Muzeum w Markowej jest uhonorowanie Polaków ratujących Żydów, także tych, którzy nie otrzymali tytułu Sprawiedliwych. Na czym opiera się Yad Vashem, weryfikując zgłaszane przypadki?

Jest wiele źródeł. Wprawdzie Żydów ukrywano przecież w sekrecie, więc zwykle zachowywało się ledwie kilka świadectw. Mimo to ciągle jestem zaskakiwana, ile rzeczy potrafiło się zachować. Są świadectwa ocalonych, czy te później zebrane w Yad Vashem. Są „*Jizkor-bicher*”: księgi pamiątkowe tworzone przez ludzi pochodzących z różnych gmin żydowskich w Polsce, którzy upamiętniali po wojnie ich członków. Jednym z podstawowych warunków do przyznania tytułu Sprawiedliwego jest to, że świadectwo nie może być tylko opinią samego ratującego i jego rodziny. To chyba dość jasne kryteria. W pewnym sensie tytuł Sprawiedliwego jest jak każda inna nagroda – nie dasz fizykowi Nagrody Nobla tylko dlatego że jest fizykiem. To tytuł za wybitne czyny.

Jak wygląda droga do tego tytułu?

Zwykle zaczyna się od listu, maila czy telefonu. Ktoś relacjonuje: „Zostałem uratowany przez polską rodzinę...”. Albo: „Mój dziadek został uratowany...”. Lub też: „Słyszałem, że jakaś rodzina...”. Wówczas zaczynamy poszukiwania. Szukamy we wszystkich możliwych źródłach: w archiwach, bibliotekach, książkach i artykułach badaczy specjalizujących się w danym obszarze, także w „*Jizkor-bicher*”. Przeszukujemy internet. Gromadzimy wszystkie możliwe informacje. Nad każdą sprawą pracuje w naszym departamencie jedna osoba znająca język, w którym zgromadzono dowody w tej sprawie. Czasem, jeśli sprawa wymaga dodatkowej wiedzy, prosi o pomoc kolegów znających inne języki. Gdy zostanie zebrany wystarczający materiał, sprawa jest kierowana do komisji. Procedura zaczyna się na nowo: materiał jeszcze raz bada członek komisji, który włada danym językiem i specjalizuje się →



Także w tym domu podczas wojny ukrywano żydowskich sąsiadów. Markowa, marzec 2016 r.

→ w danym obszarze – mamy np. członka komisji, który zna i polski, i francuski. Następnie pisze on raport, dodaje swoje sugestie. Sprawa zostaje wpisana do kalendarza obrad komisji. Gdy komisja zbierze się w danej sprawie, raportujący przedstawia temat i zaczyna się dyskusja. Bywa ona żywa, wiele kwestii rozpatruje się krytycznie.

Kim są członkowie komisji?

To przeważnie osoby ocalone z Holocaustu. To oznacza, że czasem w dyskusji dotyczącej tematów, które osobiście znają. Bywa więc, że dyskusje są dla nich bolesne, zmuszają do powrotu do dramatycznych wspomnień. Bo postępowanie, które prowadzi komisja, jest niekiedy bolesnym badaniem ludzkich historii, które nigdy nie są całkiem białe lub całkiem czarne. Są przypadki, gdy ratujący oczekuje pieniędzy. Gdy kończą się pieniądze, odsyła ratowanego. Ale są też przypadki, gdy taka osoba mówi: nie masz już pieniędzy, ale dobrze, zostań – i chroni Żyda do końca wojny. Mamy więc też do czynienia z sytuacjami, które zaczynają się od niezbyt etycznego podejścia, ale kończą się na bardzo altruistycznym. I wówczas komisja musi to wyważyć.

To trudne.

Tak. Musisz wysnuć jednoznaczne wnioski z historii, która nie jest jednoznaczna. Musisz ocenić – Sprawiedliwy czy nie?

Dyskusja w komisji to ostatni punkt postępowania?

Niezupełnie. Po dyskusji następuje głosowanie i przygotowanie protokołu. Szef komisji czyta następnie protokół, czasem zadaje dodatkowe pytanie i wtedy otwiera się nowa dyskusja. Dopiero gdy szef zaakceptuje protokół, decyzja staje się oficjalna. Ważne: szef komisji jest emerytowanym sędzią izraelskiego Sądu Najwyższego. Jak widać, całe postępowanie jest drobiazgowie i może trwać długo.

Ile spraw komisja rozpatruje rocznie?

Każdego roku otrzymujemy wiele setek zgłoszeń. Komisja dyskutuje rocznie ok. 300-400 przypadków i honoruje 400-500 nowych Sprawiedliwych rocznie [czasem jeden wniosek dotyczy kilku osób czy całych rodzin – red.]. Ale zwykle ciężko to przewidzieć. Np. teraz może się zdarzyć, że po otwarciu Muzeum w Markowej i po tej publikacji odezwie się do nas wielu Polaków i nagle będziemy mieli nowych Sprawiedliwych z Polski. Trudno przewidzieć, ile, kiedy i skąd będziemy mieć zgłoszenia.

Wspomniała Pani o szerokim spektrum przypadków pomocy. Istnieją też przypadki osób, które raczej z góry wykreśliłibyśmy z potencjalnej listy Sprawiedliwych. Ostatnio czytałam np. historię Gerharda Kurzbacha. Nazista może być Sprawiedliwym?

Sprawa Kurzbacha jest skomplikowana. Nie wiemy, czy był członkiem partii nazistowskiej, za to na pewno był żołnierzem Wehrmachtu. Czy żołnierz niemieckiej armii może być uznany za Sprawiedliwego? Tymczasem Kurzbach to nie jedyny przypadek, mamy takich więcej. Np. Wilm Hosenfeld, który uratował Władysława Szpilmana, przypomina o nim słynna scena w filmie „Pianista”. Skoro więc pytamy, czy nazista może być Sprawiedliwym, to zadajmy kolejne pytanie: czy może nim być antysemita? Świetny przykład z Polski: Zofia Kossak-Szczucka!

Jej Tymczasowy Komitet Pomocy Żydom zapoczątkował „Żegotę”.

Ona wykazała wielką odwagę, uznano ją za wybitną postać i uhonorowano tytułem Sprawiedliwej – choć gdy człowiek zagłębia się w jej pisma, łapie się za głowę.

Jak znaleźć balans między tymi faktami?

W tym samym czasie było wielu ludzi, którzy antysemitami nie byli, a nie ruszyli palcem, pozostali obojętni. Stąd idea Sprawiedliwych dotyczy czynów indywidualnych. Bo każdy człowiek ma wybór między dobrem i złem. Czy jesteś Polakiem, Żydem, czy kimkolwiek – masz wybór. I to często jest naprawdę skomplikowane. U Szczuckiej czytam, że Żydzi są odwiecznym wrogiem Polaków, i myślę: czy można napisać coś

gorszego? A jednocześnie wiem, że to była osoba, która odwoływała się do chrześcijańskiej zasady: zabronione jest zabijać, to granica, której przekroczyć nie wolno. I dlatego podjęła się szlachetnego działania. Są świadectwa osób, które były ukrywane i opowiadały, że ich wybawcy w złości mówili o nich straszne rzeczy, używając antysemitckiego języka. Niedawno uhonorowaliśmy Węgierkę, która ukrywała Żydów w swym domu w Budapeszcie i prowadziła w tym czasie pamiętnik – po angielsku, bo w tym języku odebrała edukację. Czytałam go i włosy stawały mi dęba. Ale ratowała ich, będąc w okropnym niebezpieczeństwie. I cóż – może jej sąsiedzi nie byli antysemitami, ale za to nie kiwnęli palcem, aby cokolwiek zrobić.

Potrafi Pani oszacować skalę takich przypadków: Sprawiedliwy antysemita?

Nie, nie prowadzimy wewnętrznego „rejstru antysemitów”... Ale takie historie powtarzają się co chwilę. Jak by nie patrzeć, antysemityzm to jednak element zakorzeniony głęboko w europejskiej kulturze. Są różne rodzaje, formy, poziomy tego antysemityzmu. Nie każdy od razu chce wybić wszystkich Żydów. Ale istnieje, dlatego nic dziwnego, że pojawia się nawet w biografiach Sprawiedliwych. Z tym tylko, że to oni sami decydowali, za jakie etyczne zasady są gotowi umrzeć.

Słyszałam o przypadku rodziny, która zrezygnowała z odebrania tytułu. Była to rodzina Egipcjanina, Muhammada Hilmi, odznaczonego pośmiertnie w 2013 r.

Hilmi nie był pierwszym muzułmaninem, który otrzymał tytuł – wcześniej uhonorowaliśmy osoby z Albanii czy Bośni – był natomiast pierwszym Arabem. W którymś z wywiadów jeden z dalszych członków rodziny powiedział, że odmawia ona przyjęcia medalu. Tak czy inaczej, Hilmi dostał nasz tytuł i mamy nadzieję, że pewnego dnia ktoś się po jego odbiór zgłosi. Bo ceremonia wręczenia nie jest warunkiem przyznania tytułu.

Tytuł Sprawiedliwego bywa niewygodny?

W czasie komunizmu były przypadki, gdy polscy Sprawiedliwi odmawiali przyjęcia odznaczenia. Bali się komplikacji, nie tylko jako obywatele, ale też jako sąsiedzi. Niektórzy bali się reakcji otoczenia, nie chcieli, aby ktoś wiedział, że ratowali Żydów. Kilka lat temu mieliśmy tu wzruszającą ceremonię. Pewni starsi ludzie z małej polskiej miejscowości latami nie chcieli odebrać swojego odznaczenia, by nie nadawać sprawie rozgłosu. Ale potem zgłosiła się do nas ich wnuczka z Białegostoku i powiedziała: jestem z nich dumna i chcę, aby odebrali odznaczenie. Przyjechała tu wraz z polską ambasadą i spotkała się z ultraortodoksyj-

ną żydowską rodziną, potomkami uratowanych przez jej dziadków. Wzruszyło nas, że na ceremonii pojawiła się w chustce na głowie, bo chciała w ten sposób okazać szacunek religijnej żydowskiej rodzinie.

Nadal bywa, że Polacy nie chcą swoich tytułów?

Nie, tak się już nie zdarza. Sądzę, że dziś jest odwrotnie i ludzie chcą otrzymać tytuły.

Tytuł Sprawiedliwego może być wykorzystany politycznie?

Oczywiście. Sam Holokaust bywa wykorzystywany politycznie. Przy czym, przypomnę, Sprawiedliwy to tytuł nadawany indywidualnie, a nie ogólnonarodowo. Oba tematy są jednak nagminnie naginane do aktualnych potrzeb – co uważam za okropne i żaluję, że to ma miejsce.

Zdarzają się naciski? Jak chronicie swoją niezależność w Yad Vashem?

Często otrzymuję prośby od ambasadorów różnych krajów albo od ludzi, którzy dzwonią w czyimś imieniu i mówią: byłoby dobrze dla Izraela, gdyby ta albo tamta osoba otrzymała tytuł Sprawiedliwego. Ale to tak nie działa. Postawienie emerytowanego sędziego izraelskiego Sądu Najwyższego na czele tego procesu było od początku deklaracją naszej niezależności. Wyrazem niezależności jest też fakt, że członkowie komisji nie są pracownikami Yad Vashem, lecz wolontariuszami, nie dostają pensji, kierują się tylko swoim sumieniem. Ponadto komisja jest duża, więc nawet wpłynięcie na jednego członka nie zmienia jej ostatecznej decyzji.

Dla jasności: ile osób zasiada w komisji?

W tym momencie 32. Są podzielone na trzy podkomisje, mniej więcej po 10 osób w każdej. Podczas obrad musi być obecnych minimum siedem osób. W czasie głosowania zapisuję liczbę głosów za i przeciw, a nie nazwiska członków komisji. To kolejny punkt wspierający niezależność naszej komisji. I mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że to działa. W sytuacjach największej politycznej presji udawało nam się zachowywać bezstronność.

Muzeum w Markowej otwiera nowy rozdział w patrzeniu na polską historię. To rozdział traktujący o szczególnym docenianiu tego, co było dobre. I bronię siebie przed niestusznymi oskarżeniami. Niedawno zagraniczne media obiegrała wieść, że Polska chce karać dziennikarzy za sformułowanie „polskie obozy śmierci”.

Oczywiście, że to nie były polskie obozy – to były niemieckie nazistowskie obozy

koncentracyjne i zagłady. O taki właśnie zapis na liście UNESCO Yad Vashem wnosiło wraz z Polską w 2007 r. Doskonale rozumiem, dlaczego Polacy uważają to za skandal. Natomiast dla mnie pytanie jest następujące: na ile poważne jest to formułowane w Polsce życzenie, aby poradzić sobie z przeszłością – z jej dobrymi i złymi stronami. Czy ma temu służyć eksponowanie tylko tych Polaków, którzy ratowali Żydów i mówienie: patrzcie, taka była nasza przeszłość? Sądzę, że w ten sposób nie oddaje się im sprawiedliwości, lecz pomniejsza ich dokonania. Przypominają mi się słowa Szewacha Weissa, który trafnie skomentował debatę wokół Jedwabnego. Mówił, że Polska musi sobie poradzić z tą stodołą, ale że on, Weiss, pamięta też inne stodoły, w których Polacy ukrywali i ratowali Żydów. I tak to jest: historia leży między Markową i Jedwabnem. Szczere rozliczenie z własną przeszłością jest jedynym rozwiązaniem.

Myśli Pani czasem o tym, że Pani praca kiedyś dobiegnie końca? Ilu Sprawiedliwych jest jeszcze do odkrycia?

Za dwa lata i tak idę na emeryturę, z uwagi na mój wiek... A jeśli chodzi o pracę naszego Departamentu: nie sądzę, abyśmy w najbliższej przyszłości zakończyli poszukiwania. Mamy wciąż wiele świadectw, które muszą zostać zbadane, mamy wiele nowych zgłoszeń... Powiem tak: kiedy myślę o Ulmach, nie mogę wyjść z podziwu i po ludzku nie potrafię zrozumieć, jak oni dokonali swojego heroicznego czynu. A kiedy myślę o ratujących Polakach, myślę też o ocalonych Żydach. O tych, którzy przeszli przez piekło i w tym piekle zobaczyli także najpiękniejszy przejaw humanizmu i wiary, a potem, po wojnie, poświęcili się, aby to upamiętnić. Złożenie hołdu Sprawiedliwym stało się misją instytutu Yad Vashem, założonego w 1953 r. To ci, którzy przetrwali, zajęli się upamiętnianiem tych, którzy czynili dobro. Fakt, że osiem lat po II wojnie światowej państwo Izrael uznało Polaków za bohaterów narodowych, nie może być uznany za oczywistość. To dowód ocalonych na ich wielką wiarę w człowieczeństwo. ©

Rozmawiała w Izraelu KAROLINA PRZEWROCKA



IRENA STEINFELDT

(ur. 1951) kieruje od 2007 r. Departamentem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Instytucie

Yad Vashem. Wcześniej współpracowała z Claude'em Lanzmannem przy produkcji dokumentu „Shoah”. Autorka opracowań edukacyjnych, współredaktorka książek „The Holocaust and the Christian World: Reflections on the Past – Challenges for the Future” (2000) i „Our Living Legacy” (2003).

Życie za życie

DR ALEKSANDRA NAMYSŁO, KOORDYNATORKA PROJEKTU IPN „ZAGŁĘDA ŻYDÓW NA ZIEMIACH POLSKICH”:

**Dla decyzji o udzieleniu pomocy kluczowa była znajomość sprzed wojny
– często pomagano ludziom, których znano.**

WOJCIECH PIĘCIAK: Kiedy IPN podjął się rejestrowania przypadków represji za pomoc ludności żydowskiej?

ALEKSANDRA NAMYSŁO: W 2006 r. Instytut włączył się w projekt stworzenia bazy danych obywateli Polski, którzy byli represjonowani przez Niemców za to, że podczas II wojny światowej pomagali Żydom. Jego pomysłodawcą była krakowska Fundacja Instytut Studiów Strategicznych, która zaprosiła początkowo do współpracy Naczelną Dyрекcję Archiwów Państwowych, Muzeum Auschwitz-Birkenau, Yad Vashem i Żydowski Instytut Historyczny w Warszawie. Z czasem do programu dołączył Uniwersytet Papieski w Krakowie – zespół pod kierunkiem ks. prof. Jana Szczepanika – a także Komitet dla Upamiętniania Polaków Ratujących Żydów z prof. Adamem Strzemboszem.

W pierwszej fazie realizacji programu szczególnie istotną rolę w nadaniu mu merytorycznego kształtu i w budowie bazy odegrał zespół z Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych z dr Anną Krochmal na czele oraz pierwsi koordynatorzy programu: dr hab. Marek Wierzbicki i dr hab. Grzegorz Berendt.

Obecnie projekt realizuje jedenastu historyków z IPN z całej Polski, którzy zajmują się rejestrowaniem przypadków represji w „swoich” regionach. Ja badam ten temat na obszarze części Górnego Śląska i w Zagłębiu Dąbrowskim, które w 1939 r. wcielono do III Rzeszy. Projekt realizują też historycy spoza IPN.

Czego konkretnie szukacie?

Obywateli Rzeczypospolitej, którzy pomagali Żydom i z tego powodu byli prześladowani. Definicja represji, którą przyjęliśmy, obejmuje nie tylko karę śmierci, uwięzienie w obozie koncentracyjnym czy obozie pracy, ale też np. pobicie czy zniszczenie mienia. Tu chcę zrobić zastrzeżenie: rejestrujemy nazwiska tych, którzy pomagali i ratowali Żydów, za co doświadczyli represji. Natomiast wszelkie przejawy pomocy ludności żydowskiej odnotowuje Komisja Historyczna ds. Budowy Pomnika Polaków Ratujących Żydów, który ma stanąć na placu Grzybowskim w Warszawie. W ten projekt zaangażowany jest również IPN.

Jak tworzycie taki rejestr?

Pierwsza faza programu polegała na prowadzeniu szeroko zakrojonych kwerend w archiwach polskich i zagranicznych, w muzeach martyrologicznych, w literaturze polsko- i obcojęzycznej i w prasie, oraz rejestrowaniu uzyskanych w ten sposób wyników w naszej wewnętrznej komputerowej bazie danych. Dziś zawiera ona 6543 rekordy (fakty represji), natomiast na wpisanie czeka kolejnych ponad 2,5 tys. przypadków. Przy czym nie mówimy tu o liczbie osób represjonowanych, bo pomysłodawcy programu, tworząc bazę, przyjęli taką metodę tworzenia rekordu: fakt ustalony w wyniku kwerendy równa się jeden wpis w bazie. Obecnie porządkujemy i scalamy dane. Przyjmujemy, że baza zawiera ok. 4 tys. nazwisk.

Dodam, że zanim dany fakt represji zostanie upubliczniony, jest dokładnie weryfikowany i sprawdzany przez historyków. Pierwsze efekty tych prac zostały przedstawione w pierwszym tomie „Rejestru faktów represji na obywatelach polskich za pomoc ludności żydowskiej w okresie II wojny światowej”, który w formie e-booka znajduje się na stronie internetowej IPN. Publikacja ta zostanie wydana wkrótce w formie tradycyjnej, poprawiona i uzupełniona – m.in. odezwali się do nas krewni osób zamieszczonych w tomie, dosyłając dokumenty, uzupełniając lub prostując informacje zawarte w notach. Uwzględnimy też uwagi historyków, specjalistów od stosunków polsko-żydowskich z okresu wojny.

Zauważyłem, że w tym pierwszym tomie nie ma np. rodziny Ulmów. Dlaczego?

Rzeczywiście, nie ma w nim historii Ulmów i wielu innych znanych spraw. Postanowiliśmy bowiem, że w pierwszym tomie opiszemy przede wszystkim przypadki nowe, nieznane lub słabo opisane. Takie, które dotąd nie występowały w literaturze przedmiotu. Historia Ulmów – jak też inne powszechnie znane masowe zbrodnie za pomoc ludności żydowskiej, np. ta dokonana w Ciepeliowie i okolicach z przełomu 1942/43 r. – znajdują się na pewno w drugim tomie.

Jak znaleźliście te nowe historie?

Docierając do materiałów, które dotąd przez historyków nie były wykorzystywane lub tylko w niewielkim stopniu. Na przykład są to karty personalne więźniów niemieckich zakładów karnych, w których zapisywano przyczynę uwięzienia. Do rejestru kwalifikowaliśmy te przypadki, gdzie w karcie znalazł się zapis, że dana osoba trafiła tam za pomoc udzieloną Żydom. Niestety informacje tam zawarte są lakoniczne i na ich podstawie nie możemy odtworzyć całej historii. Ale nawet taki krótki zapis to już konkretny, zweryfikowany materiał. Natomiast większe historie można zrekonstruować na podstawie zachowanych akt procesowych niemieckich sądów specjalnych – to w większości obszerne materiały, zawierające zeznania oskarżonych i świadków oraz uzasadnienia wyroków.

Co będzie w kolejnych tomach?

Na sprawdzenie i weryfikację czeka ponad tysiąc nazwisk. Część z nich znajdzie się w kolejnych tomach. To przypadki, które zebrano w wyniku kwerend, m.in. w Departamencie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata w Yad Vashem, w Dziale Dokumentacji Odnaczeń Yad Vashem w Archiwum ŻIH-u, w znajdujących się w zasobach tego archiwum relacjach ocalałych z Zagłady, w pamiętnikach Żydów czy w dokumentacji Wydziału Opieki Społecznej Centralnego Komitetu Żydów w Polsce.

Sporo przypadków represji odnaleziono w sprawach prowadzonych przez Okręgowe Komisje Badania Zbrodni przeciw Narodowi Polskiemu, a zwłaszcza w dokumentacji Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Chodzi tu o różne akta, zebrane w jednym zespole archiwalnym, w ramach śledztwa prowadzonego przez Wacława Bielawskiego, pracownika tej komisji. Dotyczyło ono zbrodni popełnionych przez funkcjonariuszy niemieckich na Polakach pomagających ludności żydowskiej. To ponad 2 tys. różnych spraw. Zebrane historie Bielawski zaprezentował w wydanej w 1987 r. pracy „Zbrodnie na Polakach dokonane przez hitlerowców za pomoc udzielaną Żydom”.

Jednak przypadki pozyskane z akt Komisji, kwalifikowane dotąd jako represje za pomoc Żydom, wymagają dokładnego



Fragment multimedialnej ekspozycji Muzeum w Markowej, marzec 2016 r.

→ sprawdzenia. Podam przykład egzekucji we wsi Przewrotne [dziś woj. podkarpackie – red.]. W marcu 1943 r. Niemcy zamordowali tam 32 Polaków, a w maju 1943 r. kolejnych 23, rzekomo za pomoc ludności żydowskiej. Badania dr hab. Elżbiety Rączy z naszego zespołu wykazały, że zbrodnie te nie miały związku z pomocą Żydom, natomiast taki charakter miała akcja z 1 grudnia 1942 r. w Studzieńcu; to przysiółek Przewrotnego. Rozstrzelano wtedy sześciu Polaków, wraz z ukrywanymi przez nich Żydami.

Chcę jednak zaznaczyć, że z kolei weryfikacja źródeł innej proveniencji dostarcza nowych faktów i kolejnych nazwisk Polaków represjonowanych za pomoc Żydom.

Czy poza pracą Bielawskiego w czasach PRL były jakieś badania?

Pierwsze zwarte opracowania na temat stosunków polsko-żydowskich pojawiły się dość późno. W pierwszych latach po wojnie polscy historycy koncentrowali się głównie na działaniach okupanta niemieckiego skierowanych przeciw ludności polskiej, a kwestię eksterminacji ludności żydowskiej pozostawiono Żydowskiej Komisji Historycz-

nej, później Żydowskiemu Instytutowi Historycznemu.

Pierwszą monografię, którą poświęcono pomocy Żydom – autorstwa Tatiany Berenstein i Adama Rutkowskiego – wydano w 1963 r. Paradoksalnie zainteresowanie tą tematyką wzrosło pod koniec lat 60., w okresie prowadzonej przez władze PRL kampanii antysemitkiej – zaistniała wtedy „odgórna potrzeba”: władze chciały wykazać, że podczas wojny Polacy pomagali Żydom.

Szersze zainteresowanie tym tematem pojawiło się po przemianach politycznych w 1989 r., a pierwszą pracą wydaną w tym okresie na temat pomocy ludności żydowskiej była „Księga Sprawiedliwych” Michała Grynerga.

Czy kiedyś uda się ustalić ostateczną liczbę Polaków represjonowanych za pomoc Żydom?

Z pewnością nie da się ustalić pełnej zamkniętej listy. Na pewno nie z imienia i nazwiska. W naszej bazie prawie połowa przypadków to represje, których doświadczyły osoby dla nas anonimowe, ale i takie będziemy po weryfikacji opisywać. Wkrótce znów ruszy strona internetowa programu, teraz jest w fazie rozbudowy. Stopniowo będziemy zamieszczać na niej nazwiska, a także okoliczności represji, jeśli oczywiście pozwoli na to materiał źródłowy.

Gdzie i jak pomagano

ANALIZA 2473 OSÓB zgłoszonych do Komisji Odznaczeń Yad Vashem, prowadzona przez dr. Marcina Urynowicza, pokazuje, że w 32 proc. były to duże miasta, a w 68 proc. miasteczka i wsie. To samo badanie ustaliło następujące formy pomocy: 67 proc. ukrywanie; 19 proc. niesprecyzowana pomoc „inna”; 17 proc. dostarczanie dokumentów; 6 proc. pomoc dla ukrywających się; 3 proc. pomoc doraźna przy ucieczce.

W źródłach pojawiają się też zapewne informacje, dlaczego podejmowano ryzyko pomocy Żydom. Jakimi względami się kierowano?

Zależało to od wielu czynników, jak choćby miejsca zamieszkania czy wykształcenia ratującego. Istotną rolę odgrywała znajomość sprzed wojny, na gruncie prywatnym lub zawodowym, ale także względy religijne czy po prostu empatia. Oczywiście zdarzały się przypadki pomocy wyłącznie w zamian

za korzyści materialne. Dr Marcin Urynowicz kilka lat temu dokonał ciekawej analizy 2473 przypadków pomocy, zebranych w dziale Dokumentacji Odznaczeń Yad Vashem w ŻIH-u. W prawie połowie zgłoszeń powoływano się na względy humanitarne, drugim czynnikiem była znajomość sprzed wojny. Również ta przyczyna, czego dowiodła Elżbieta Rączy, dominowała wśród Polaków ratujących Żydów na terenie Rzeszowszczyzny. Podobną analizę na grupie 4119 Polaków odznaczonych Medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata przeprowadziła Ella Linde z Yad Vashem. Wynika z niej, że połowa odznaczonych pomagała ze względu na jakieś powiązania sprzed wojny z ratowanymi, równie często pojawiały się argumenty humanitarne.

Minęło ponad 70 lat, czy zastanawialiście się np. nad wystosowaniem apelu do osób, które mogłyby jeszcze złożyć relacje?

Tak, oczywiście. Już w momencie powstania programu Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych przygotowała odpowiedni formularz dla osób, które chciałyby zgłosić znany im przypadek represji za pomoc ludności żydowskiej.

Był odzew?

Tak, zwłaszcza w pierwszej fazie istnienia programu. W 2009 r. Uniwersytet Papieski w Krakowie uruchomił akcję informowania o projekcie przez księży w kościołach. Ostatnio, jak wspominałam, przy okazji pojawienia się e-booka odzywali się także krewni zamieszczonych w nim osób. Nie było przypadku, aby ktoś stwierdził, że nie życzy sobie, by historia jego bliskich została w nim opisana.

A gdyby dziś ktoś chciał złożyć relację?

Na stronie programu, która wkrótce ruszy na nowo, znajdą się formularz i dane kontaktowe. Do tego czasu można pisać na adres: oddzial.katowice@ipn.gov.pl lub relacje@archiwa.gov.pl. Chcę podkreślić, że jesteśmy zainteresowani również takimi faktami pomocy ludności żydowskiej, za które pomagający nie doświadczyli represji. ©

Rozmawiał WOJCIECH PIĘCIAK

ARCH. PRYWATNE



DR ALEKSANDRA NAMYSŁO

(ur. 1971) jest historykiem, pracuje w Referacie Badań Naukowych Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Katowicach.

Autorka publikacji na temat historii Żydów na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim, ze szczególnym uwzględnieniem okresu Zagłady. Koordynatorka Centralnego Projektu Badawczego IPN „Zagłada Żydów na ziemiach polskich w okresie II wojny światowej”.



Dzieci Ulmów latem 1943 roku. Od lewej: Franek, Stasia, Basia i Władzio.

Osiemset zdjęć Józefa Ulmy

POKAZUJĄ ŻYCIE CODZIENNE MARKOWEJ, jej mieszkańców, a także rodziny Ulmów, najpierw w latach 30. XX w., a potem podczas wojny: fotografie archiwalne, którymi ilustrujemy ten dodatek, wykonał Józef Ulma.

Był on bowiem nie tylko ambitnym gospodarzem i społecznikiem, ale też pasjonatem fotografii. Robił – rzecz na tamte czasy niezwykła – tysiące zdjęć, nie tylko dla siebie, ale też dla sąsiadów. Do dziś zachowało się około ośmiuset – przechowali je ludzie z Markowej i okolicznych wsi. Część pomieszczono w albumie, którego drugie wydanie ukazało się w 2015 r. Przedstawiają świat, w którym żyli Ulmowie – czy może raczej: opowiadają o tym świecie, obrazem i również emocjami, bo Józef był naprawdę dobrym fotografem, umiał uchwycić sytuację i klimat. Np. w zdjęciach, które robił żonie Wiktorii i dzieciom, niemal czuć emocje – miłość.

Dwa zdjęcia z tego albumu można by uznać za symboliczny epilog tej – fotograficznej – opowieści. Na jednym widzimy czterech

mężczyzn, jak w gospodarstwie Ulmów rąbią drewno na opał. To Goldmanowie: Żydzi, którzy zginęli razem z Ulmami [zdjęcie publikujemy na stronie 68 – red.]. Na drugim dwie młode kobiety siedzą na trawie; między nimi dziecko, najpewniej dziewczynka. Na rękawach sukienek kobiety mają opaski z gwiazdą Dawida [patrz strona 74 – red.]. Obie pochodziły z Markowej, nazywały się prawdopodobnie Tencer. Gdy przyszedł rozkaz, by Żydzi poszli do gett, ukryły się w schronie w jarach; w jego budowie pomagał Józef Ulma. Odnalezione podczas poszukiwań, zarządzone przez sołtysa na rozkaz Niemców, obie zginęły w grudniu 1942 r. Na tym drugim zdjęciu widać kilkanaście ciemnych drobnych plamek. To krople krwi ofiar mordu dokonanego w domu Ulmów 24 marca 1944 r. Zdjęcie zabrała mieszkanka Markowej i przechowała. Dziś jest jednym z najcenniejszych eksponatów w markowskim Muzeum. © P

WP

**MATEUSZ SZPYTMA, SPRAWIEDLIWI I ICH ŚWIAT.
MARKOWA W FOTOGRAFII JÓZEFA ULMY,**

*wydanie drugie, poprawione i uzupełnione;
IPN i Fundacja Instytut Studiów Strategicznych, Kraków 2015.*

Jak wygląda Muzeum oraz wieś Markowa – na stronie internetowej „Tygodnika” publikujemy galerię zdjęć Grażyny Makary.

www.powszech.net/ulmowie



Wnętrze Muzeum w Markowej, marzec 2016 r.

Lekcja z Markowej

OFER ADERET

Żydzi, którzy odwiedzają Muzeum w Markowej, zapewne staną przed wyborem między zachwytem a nieufnością.

Zastanawiam się, co podczas ceremonii otwarcia Muzeum Polaków Ratujących Żydów w Markowej zrobiło na mnie większe wrażenie. Może widok Polaków z małych wiosek, przychodzących z dziećmi i wnukami pod ścianę z nazwiskami rodziców i dziadków, robiących zdjęcia telefonami, dumnych i szczęśliwych. Szczerze cieszyłem się razem z nimi, gdy pokazywali mi medale, które kilka godzin wcześniej otrzymali od prezydenta Andrzeja Dudy. Dla mnie, izraelskiego dziennikarza, który zajmuje się Holokaustem, to była pierwsza możliwość spotkania z rodzinami Polaków niosących pomoc Żydom, którzy przez lata milczeli lub byli przemilczani.

Podobnie wzruszony byłem rozmawiając z rodzinami żydowskich ocalałych z Holokaustu, którzy przybyli na otwarcie Muzeum i opowiedzieli dotąd nieznane mi historie. Myślę tu szczególnie o rodzinie Abrahama Segala, 86-letniego ocalałego, która pojawiła się w Markowej jako goście honorowi. Segal przetrwał Zagładę w Markowej dzięki miejscowej rodzinie Cwynarów – i po zamordowaniu Ulmów zdołał zbiec z wioski. Teraz w Markowej jego rodzina spotkała się z córką wybawców.

Wrażenie zrobiła na mnie również wcześniejsza wizyta w warszawskim oddziale IPN, gdzie po raz pierwszy w życiu na wła-

sne oczy zobaczyłem dokumenty opowiadające o nazistowskich prześladowaniach wobec Polaków za ratowanie Żydów. I gdzie po raz pierwszy zwrot „Polacy ratujący Żydów” otrzymał w moich oczach konkretne imiona i twarze. W Izraelu w książkach o naszej historii odnajdujemy zwykle podobne dokumenty, lecz mówiące o prześladowaniach względem Żydów.

Te trzy spotkania – dwa ze świadkami historii i jedno z dokumentami mówiącymi o dramacie sytuacji – wpłynęły na mnie i już z pewnością zmieniły moją perspektywę patrzenia na relacje polsko-żydowskie w tamtym czasie.

Tym samym nie mogę odegnąć wątpliwości, które jednocześnie zrodziły się w mojej głowie – i, jak sądzę, pojawiają się w odczuciach wielu Żydów, którzy przyjadą do Markowej. Myślę tu szczególnie o osobach takich jak ja, których żydowskie dziadkowie doświadczali od Polaków obojętności, pogardy, czasem nawet okrucieństwa. Od dziecka słyszałem od moich polskich żydowskich dziadków, że zdecydowali się opuścić swoją ojczyznę w latach 30. XX wieku – zanim Niemcy rozpoczęły okupację Polski – z powodu, jak mówili, zakorzenionego w Polakach antysemityzmu. Znam izraelskie rodziny z jeszcze trudniejszymi historiami, obejmującymi zdradę, szabrownictwo, a nawet morderstwo.

Muzeum w Markowej, które tej drugiej stronie medalu poświęca wprawdzie trochę miejsca, lecz w moim odczuciu nie opatruje historycznych dokumentów jednoznacznie, jasnym dla zwiedzającego, dokładnym komentarzem i nie odpowiada na wątpliwości takich osób jak ja – może wzbudzić czyjaś nieufność. A szkoda, żeby ta nieufność zatarła wartość ogromu pracy, która została w Markowej wykonana, aby przypomnieć światu o polskich Sprawiedliwych. W przemówieniu podczas otwarcia Muzeum prezydent Andrzej Duda podkreślał konieczność stanięcia w prawdzie – chciałbym bardzo, aby zawsze tak właśnie było.

Z drugiej strony, jako dziennikarz zajmujący się historią jestem w pełni świadomy faktu, że Muzeum z definicji nie może sportretować całej prawdy, lecz raczej próbuje ograniczyć się do jakiegoś tematu. Z tej perspektywy rozumiem ideę twórców Muzeum w Markowej: pragnęli dać wyraz pięknym historiom osób, których głos nie był dotąd słyszany, ich imiona nieznane, ich twarze niewidziane. Tym samym jestem przekonany, że markowskiej historii w żaden sposób nie zaszkodziłoby kilka zdań więcej wyjaśniających, że Polacy bali się ratować Żydlów nie tylko ze strachu przed Niemcami, ale też, bywało, przed swoimi polskimi sąsiadami czy granatowymi policjantami. Takie ujęcie tematu nie tylko nie zaszkodziłoby markowskiemu Muzeum, lecz także zamknęłoby usta nieprzekonanym, a nade wszystko – dodatkowo podkreślałoby heroizm rodziny Ulmów.

Ciekawe, że pierwszą grupą, która odwiedziła Muzeum w dzień po jego otwarciu, była grupa izraelskich uczniów, którzy pewnie po raz pierwszy w życiu usłyszeli o tym niezwykłym markowskim przykładzie dobra i braterstwa okazanego Żydom przez Polaków podczas wojny. Pewnie prosto z Markowej pojechali do obozu Auschwitz, potem do warszawskiego Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Ciekawe, co zostanie w tych młodych głowach po powrocie do domów. Czy będą w stanie zrozumieć, że wojenna rzeczywistość nie była czarno-biała, i że czasami w tej samej polskiej wiosce, obok największej podłości, mieszkała również najpiękniejsza forma miłości – z gotowością do oddania życia za swojego bliźniego włącznie?

Takiego odbioru życzyłbym Muzeum w Markowej. ©

OFER ADERET (ur. 1981) jest reporterem izraelskiego dziennika „Haaretz”, w którym zajmuje się m.in. tematyką historyczną. Wraz z grupą dziennikarzy prasy żydowskiej z różnych krajów świata brał udział w otwarciu Muzeum Polaków Ratujących Żydów w Markowej.



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



NOWOŚCI WYDAWNICZE IPN